

Opowiedz mi o spadających gwiazdach

Napisał: Marek Robert Falzmann

Ilustrowała: Dorota Stachurska

- Mamo!
- Słucham, Gabi.
- Mamo, czy jak spada gwiazda, to ktoś umiera?
- Nie, synku, nikt nie umiera, to są tylko meteory.
- Takie małe kamienie?
- Tak, małe kamienie.
- A dlaczego one świecą?
- Śpij już, Gabi. Rano będziemy w domu i spytasz tatę, a on ci to wszystko wytłumaczy lepiej ode mnie.
- Dobrze, mamo.

Jonę obudziła cisza i chłód. Mimo wykładziny dźwiękochłonnej pobliski night-bar dudnił zwykle żywiołową muzyką, która wciskała się do kabiny jak odległy szum oceanu. Próbowała zapalić światło, ale neonówka ledwie mżyła nie rozjaśniając czarnych cieni pod meblami.

- „Poskarżę się stewardowi” - Jona ze złością nacisnęła zamek; drzwi ani drgnęły. Nie próbowała powtórnie. Zrozumiała, że coś się stało. Ostrożnie zdjęła tarczę wideofonu. Ekran był ciemny. Mechaniczny głos recytował z głośnika „...zachowajcie spokój. Awaria zasilania. Pomoc w drodze. Pamiętajcie, co należy teraz zrobić...”.

Położyła tarczę. Cicho wróciła do łóżka i dodatkowym pledem okryła syna. Potem

ułożyła się obok niego i zaczęła płakać. Było coraz zimniej, a powietrze miało dziwny, duszący zapach spalin.

★

- Jak to się stało?
- Pilot zameldował, że włącza silniki hamujące. Tylko tyle zdążył powiedzieć.
- Jaka jest opinia ludzi z kontroli lotów?
- Wykluczają uderzenie meteorytu. Nie było zapisu ani zgłoszenia obcych ciał w kanale podróznym.
- Pozostaje więc tylko awaria lustra fotonowego.
- No nie, nie tylko. Mogły puścić osłony magnetyczne silników.
- Opinia ekspertów?
- Brak danych. To, że część „Tytana” anihilowała, nie oznacza konkretnej awarii jednego z kluczowych elementów maszynowni. To mogło się zacząć od obluźwanej śruby dozownika lub niedroźnego przewodu chłodzenia.
- Jaka jest sytuacja na pokładzie?
- Fatalna. Wprawdzie nikt nie zginął, nie ma też rannych, ale wszystkie grodzie próżniowe zablokowały przejścia wewnątrz transatlantyka. To jest ponad cztery tysiące samo-

dzielnych jednostek. Ludzie ugrzęźli w windach i łazienkach. Odcięty powrót do kabin z restauracji, kinoteatru czy basenu kąpielowego. Rozdzielone rodziny. Osamotnione dzieci. Niemowlaki czekające na matkę lub ojca. Piloci i załoga nie panują nad „Tytanem”. Brakuje energii do uruchomienia awaryjnych systemów podtrzymywania życia.

- Czy nastąpiła zmiana kursu?
- Tak.
- Szybkość?
- Obecnie zbliżyła się do dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę.
- Dokąd kieruje się „Tytan”?
- Komputery liczą przypuszczalne trajektorie.
- Pan nie mówi prawdy!
- Nic więcej nie mogę powiedzieć.

*

Centrum Kontroli Lotów przypominało mrowisko, w które wdepnął głodny mrówkojad. Okoliczne parkingi i trawniki zatłoczone były autami, ludźmi i policjantami z kontroli drogowej i oddziałów specjalnych. Do zamkniętych drzwi głównego biura szturmował zwarty tłum kobiet i mężczyzn powstrzymywany potrójnym kordonem strażników, ubranych w plastikowe zbroje. Alderon, wychylny z okna, patrzył na ten bałagan i czuł, że się poci. Przenikały go dreszcze niepokoju.

- Jeżeli tu wejda, rozedrą nas na strzępy.

Kerr, szef kontrolerów lotu, gruby i śmierzdzący jak jego cygara, drapał się po owłosionej piersi. Alderon cofnął się od okna i usiadł w fotelu. Salka obliczona na osiem osób była zapełniona po brzegi. Duszny smog, będący mieszaniną dymu tytoniowego, parującej kawy, alkawitu i spoconych ciał, wisiał ciężko u niskiego sufitu.

Przemawiał Albert, dyrektor Kosmodromu Kilimandżaro:

- ...na pokładzie „Tyтана” znajdują się dwa tysiące pięćset cztery osoby łącznie z załogą. Oni dla nas już umarli. Nie możemy czekać do ostatnich chwil. Ktoś z nas musi to powiedzieć. Nie ma sposobu zapobieżenia katastrofie. „Tytan” skierował się w stronę Ziemi i za godzinę wejdzie w atmosferę. Żaden z naszych

statków ratowniczych nie zdąży podejść do „Tyтана” i ewakuować pasażerów. Na to potrzeba godzin, a nie minut. „Tytan” automatycznie zatrzasnął swoje grodzie i służy w chwili dekompresji w przedziale silnikowym. Jeżeli uszkodzone są słuzy awaryjne, to trzeba byłoby pruć pancerz, a potem po kolei grodzie...

- Czy wysłał pan wszystkie statki na orbitę?
- pytanie zadał Slovanec. Jak na ministra komunikacji, nie miał teraz właściwego wyglądu.

Ściągnięto go helikopterem z jakiejś łódki na Nilu. Był ubrany w podkoszulek, szorty i kalosze. Ciągle jeszcze trzymał w ręku spinning, uczepiony na krótkim wędzisku.

- Wszystko, co mogłem, panie ministrze.

Albert rozłożył ręce w niemej rozpaczce. Pidżamowa kurtka, którą miał na sobie, rozchyliła się ukazując łańcuszek zakończony złotym krzyżykiem.

- Pozostaje nam tylko chyba... modlić się o cud - szepnął.

Kerr w milczeniu pokiwał głową, zapalając cygaro od cygara. Slovanec wściekle machnął kołowrotkiem i rozbił filiżankę z kawą.

- Musi być jakieś wejście! - krzyknął. - Myśl, człowieku!!

- Robimy, co się da. Ściągnąłem na pomoc niszcyciele z wojskowych baz orbitalnych i wszystko, co się rusza w tej części kosmosu...

- Albert opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

- Ma tam żonę i syna - powiedział ktoś z obsługi radarów.

- Przepraszam, nie wiedziałem... - Slovanec przełknął ślinę i głęboko odetchnął.

- Ja im tego nie powiem, nie mogę...

Dość gruba bambusowa rękojeść wędki pękła w jego dłoniach z ogłuszającym trzaskiem.

Alderon wstał i podszedł do atomatu z kawą. To była jego piąta filiżanka, ale gotów był wypić cały termos, byle odpędzić przerażające uczucie pustki, jakie ogarnęło go na wieść o katastrofie.

- Ja to zrobię - powiedział głośno i cisnął kubek z kawą na podłogę. Patrzyli na niego w milczeniu.

- Daj spokój, nie powinienes... - zaczął Kerr, ale nie dokończył, widząc zdecydowanie na twarzy szwagra. Alderon usiadł przed ekranem holowizora. Nie było wizji, jednak dźwięk był doskonale czysty i nie skażony zakłóceniami. Od pół godziny obowiązywała w kosmosie cisza.

- Ziemia do „Tytana”. Mówi...

Kiedy skończył, miał mokrą koszulę i ktoś ocierał mu czoło papierowym ręcznikiem. Do sali wpadł Olson. Jako przedstawiciel konsorcjum, produkującego sprzęt kosmiczny, miał obowiązek udzielenia informacji dziennikarzom.

- Nie mogę splawić tych wideofonicznych hien - krzyknął. - Co mam im powiedzieć?

- Prawdę! - Slovanec wskazał na ekrany. - Za godzinę lub krócej i tak wszyscy to zobaczą. Nie ma się co oszukiwać.

Alderon leżał w fotelu. Gruby Kerr krążył wokół niego jak ćma.

- Spokojnie, chłopcze, trzymaj się. Może zdarzy się cud. Póki żyją, nic jeszcze nie ma straconego. Wiem, co czujesz. To moja siostra, a twoja żona...

- Gabor ma dopiero trzy latka. Tak długo czekaliśmy, aż będzie nas stać na dziecko.

Alderon zamknął oczy. Stalowa łapa strachu dławiała go w bezlitosnym uścisku.

- Kerr, powiedz, że to nieprawda... oni nie mogą zginąć!

Poderwał się w stronę okna. Potrzebował przestrzeni, pędu powietrza, dziesięciu piętér i betonowej płyty, o którą będzie się mógł roztrzaskać, rozprysnąć jak czerwony kleks. Tak jak za godzinę zginą Jona i Gabor. Dwa krwawe kleksy na suficie czy ścianie, które zmyje ocean ognia.

Kerr mimo swej tuszy był szybszy. Uderzył tylko raz i złapał sflaczale ciało Alderona w swoje ręce, nieprzytomnego posadził na najbliższym fotelu.

W pustej salce siedział jedynie Albert.

- Co się stało? - był zaszokowany zachowaniem szefa kontrolerów.

- Chciał skoczyć. Na „Tytanie” ma żonę i syna. Moją siostrę...

- To też jest wyjście...

Albert wstał. Kerr pochylił głowę i zacisnął pięści. Był gotów. Albert popatrzył na szefa kontrolerów i powoli usiadł.

- Pan mnie źle zrozumiał. Powinniśmy zejść na dół i osobiście być z tymi, którzy czekają na swoich bliskich... Oni nie wiedzą, że się ich nie doczekają.

Dyrektor Kosmodromu Kilimandżaro płakał.

- Spokojnie, spokojnie - Kerr wypuł niedopałek cygara na podłogę, nalał do kubka dużą porcję alkawitu i wypił. Powtórnie nalał i podał Albertowi.

- Alderon powiedział, że wszyscy musimy być dzielni, musimy mieć nadzieję. „... Jesteśmy z wami myślą i sercem...”, „Niewielka jest nadzieja na ratunek, ale zawsze może zdarzyć się cud...”.

*

- Gadanie! - Solo Mann ze złością wyłączył odbiornik. Od dwudziestu minut jego „Złota Strzała” szła pełnym ciągiem w stronę „Tytana”. Przeciężenie rozplaszczyło pilota w fotelu, a alarmowe kontrolki chłodzenia stosu niedwuznacznie sugerowały, że reaktor jest na granicy wybuchu. Przy stu tysiącach kilometrów na godzinę autopilot samoczynnie wyłączył silniki. Na ziemskich ekranach maleńka kreseczka goniąca „Tytana” przypominała wściekłą pszczołę mknącą za burym, olbrzymim niedźwiedziem, który skradł jej zapasy miodu.

*

- Alderon, odezwij się wreszcie, oprzytomnij do diabła! - Kerr z syfonem w ręku udawał strażaka. - Chłopcze, jest szansa, słyszysz mnie?

- Słyszę i przestań mnie topić.

Alderon, kichając i plując, siadł na stole. - Czuję twoją łapę na szczęce - mruknął.

- Boże, teraz trzeba myśleć! - Grubas z rozmachem klepnął szwagra w plecy. Alderon spłynął ze stołu, na miękkich nogach zrobił trzy kroki i zawisł na fotelu przed ekranem dalekowizji.

– Tutaj, tutaj! – Kerr stuknął palcem w ciemny punkt w centrum ekranu. – Tutaj jest „Tytan”. A ta mała iskierka to holownik ze służby oczyszczania kosmosu. Połączenie niewiarygodnej siły i szybkości. Niech się schowają wszystkie ratunkowe czy wojskowe rakiety.

Salka, cicha i pusta, wypełniła się powtórnie ciżbą uczestników niedawnej narady.

– Kto to jest?! – krzyczał Slovanec, przeciskając się w stronę fotela, gdzie siedział Albert.

– Jak to mówią – „twardy facet z SOK-u”. – Dyrektor Kosmodromu Kilimandżaro nie odrywał oczu od ekranu. W jednej ręce trzymał cygaro otrzymane od Kerra, w drugiej kubek, a między kolanami ścisnął butelkę z alkawitem. Ktoś podsunął ministrowi pustą skrzynkę po piwie. Slovanec usiadł z głową prawie w ekranie.

– Niesamowicie szybki, jak na tak małą jednostkę – szepnął z podziwem w głosie. – Masz z nim kontakt? – spytał Alberta.

– Miałem, ale nie chciał nikogo słuchać. Wyłączył się.

– Mówił coś?

– Tak. „Nie przeszkadzać!” ... i „Wycofajcie swoje statki z mojej trajektorii”.

– To niewiele. Twardy gość. Istotnie...

– Wie, co robić! – Olsen wsunął głowę między fotel a skrzynkę. – Stary wyjadacz. Zebrałem już informacje o nim. To Solo Mann, dwadzieścia lat w kosmosie. Od pięciu lat na holowniku SOK-u...

– Skąd on tam się wziął? Tak blisko Ziemi? – zainteresował się Alderon.

– O to samo pytałem dyspozytora z Bazy SOK-u na Księżycu. – Olsen znacząco chrząknął. – Nie chciał mi nic powiedzieć i zrobił się raczej mało komunikatywny, używał trudnych do powtórzenia zwrotów, w rodzaju...

• – Nieważne. Zupełnie nieważne! Dajcie na ekrany czas, jaki został „Tytanowi”, i proszę zacząć odliczanie!

Albert nalał do kubka alkawitu i podał ministrowi.

– Za tych, co w kosmosie! Wypij, dobrze ci zrobi. To środek antystresowy.

Slovanec bez słowa przechylił kubek.

*

„Złota Strzała” przywarła do boku „Tytana”. Tępy, opancerzony dziób holownika wparł się w bok kolosa. Ciężko zagrały cztery dysze głównego ciągu pojazdu. Solo Mann drżącą dłonią przesunął dźwignię dopalaczy. Nie miał czasu na delikatny manewr. Wprawdzie holował przy większych szybkościach o wiele potężniejsze wraki do księżycowych doków, ale tutaj należało odchylić raketę na tyle, by wyrwała się ze śmiertelnej trajektorii i weszła na obojętną orbitę kołową. Obliczył, że zdąży z zapasem pięciu minut. Teraz, kiedy już wparł się w ceramitowy pancerz, a widoczna na ekranie hipotetyczna czerwona linia drogi „Tytana” coraz szybciej odsuwała się ze środka pola, mógł spokojnie odetchnąć.

Po ostatnich wyścigach wodniaków był wykończony fizycznie, psychicznie i... finansowo. Nie dość, że rozbił klubowy ślizgacz, za który trzeba będzie zapłacić... już trzeci raz w tym roku, a to kosztuje..., to jeszcze stary Glum z Księżyca domaga się zwrotu pożyczki.

Sięgnął po termos. Wypił parę łyków kawy, które zostały na dnie, i sapiąc przez nos, położył się w fotelu. Końcem obcasa dociskał do maksimum dźwignię, którą ostrożny autopilot próbował cofnąć do połowy skali.

– Asekurant! – uderzył pięścią w oparcie fotela. Zawsze sobie obiecywał, że weźmie młotek i rozwali wszystkie bezpieczniki autopilota, ale nigdy tego nie umiał zrobić. Bądź co bądź, nie była to głupia maszyna, ale cybernetyczny mózg, z którym zawsze można było pogadać w wolnej chwili.

– Zdejmij tę nogę, bo wyłączę silniki – powiedziała ściana.

– Nie da rady, słyszałeś przecież sygnał S.O.S. Tam są ludzie. Trzeba ratować...

– Zdążysz. Oszczędzaj reaktor. Mamy uszkodzone chłodzenie!

– Wytrzymamy jeszcze pięć minut?

– Jak nic nowego się nie przytrafi, to wytrzymamy.

– No, to trzymaj ten kurs! Tylko pięć minut i starczy! – zdjął nogę z dźwigni, wstał i zaczął się ubierać w skafander.

- Dokąd idziesz? – spytała ściana.
- Na zewnątrz. Muszę im podłączyć akumulatory. Mają trudności z awaryjnymi systemami podtrzymywania życia.

- Dam ci cały zestaw energetyczny z naszego dubletu.

- Duże ryzyko. Powiedzmy, że stracisz kontrolę przed stołem i jak wtedy dasz sobie radę?

- Poczekam na ciebie.

Solo Mann bez słowa wszedł do słuzy. Na zewnątrz czekał już na niego potężny grzbiet „Złotej Strzały”, kryjący w sobie ministos ratunkowy oraz wszystkie ważniejsze dublety urządzeń holownika.

- Oddzielam – szepnął głośnik w helmie.

- Skieruj mnie w stronę kabiny pilotów, tam są zewnętrzne gniazda energetyczne.

„Złota Strzała” pękła wzdłuż i jej górna część ruszyła w stronę kadłuba „Tytana”. Solo Mann mijał kolejno krystaliczne okna pojazdu i z niepokojem patrzył na ludzi z tamtej strony. Widział ich leżących na podłodze lub skulonych na posłaniach w swoich kabinach. Brakowało im światła, tlenu i ciepła.

- Ledwo zipią!

Przycumował do pierwszego gniazda. Zdjęcie pokrywy i dopasowanie kontaktu zajęło mu parę sekund.

W chwili kiedy włączył agregaty, „Tytan” sapnął glucho i zewnętrzne pancerne pokrywy luków otwały się zachęcająco. Równocześnie wszystkie ciemne okna rozbłysły strugami białego, różowego i żółtego światła. Solo Mann podniósł się z kłęczek i zajrzał przez najbliższą szybę do środka. W kabinie na posłaniu leżała kobieta tuląca do piersi małego chłopca. Nagła zmiana oświetlenia spowodowała, że zerwała się gwałtownie i odruchowo spojrzała w iluminator. Solo Mann uśmiechnął się przyjaźnie i znacząco podniósł do góry rękę. Kobieta zrozumiała. Jej twarz rozpozodził uśmiech niewyobrażalnej ulgi. Odwróciła się zaraz i nacisnęła zamek u drzwi. Odskoczyły, nikiąc w ścianie, a Solo Mann zobaczył wewnątrz korytarza i innych ludzi padających sobie w ramiona i śmiejących się przez łzy. Kobieta powiedziała coś i do jej kabiny zaczęli się tłoczyć pasażerowie próbując zobaczyć swoje-

go wybawcę. Solo Mann odsunął się z zażenowaniem. Nigdy nie przepadał za teatrem, a tutaj nagle wylądował na scenie w głównej roli. W innych oknach też pojawili się ludzie i wszyscy kiwali do niego rękami jak opętani. Błysnął jakiś flesz.

Solo zdrewniał. Był przemęczony. Oczy miał zapuchnięte, a na twarzy trzydniowy zarost. Zrejterował więc. Galopem, o ile w pustce kosmicznej i w skafandrze można galopować, ruszył w stronę kabiny pilotów. Podłączył następny kabel zasilania i bez zbędnego zerkania w cudze okna rozejrzał się za „Złotą Strzałą”. Wierny holownik odpływał właśnie od boku „Tytana” i sterując silnikami korekcyjnymi próbował dopasować się do swojego drugiego ja. Solo Mann bez namysłu odbił się od burty transatlantyka i skoczył w czarną pustkę dzielącą go dwustumetrową szczeliną od „Złotej strzały”. Śluzą otworzyła się, kiedy tylko dotknął dłonią burty. Bez rozważania się wszedł do kabiny.

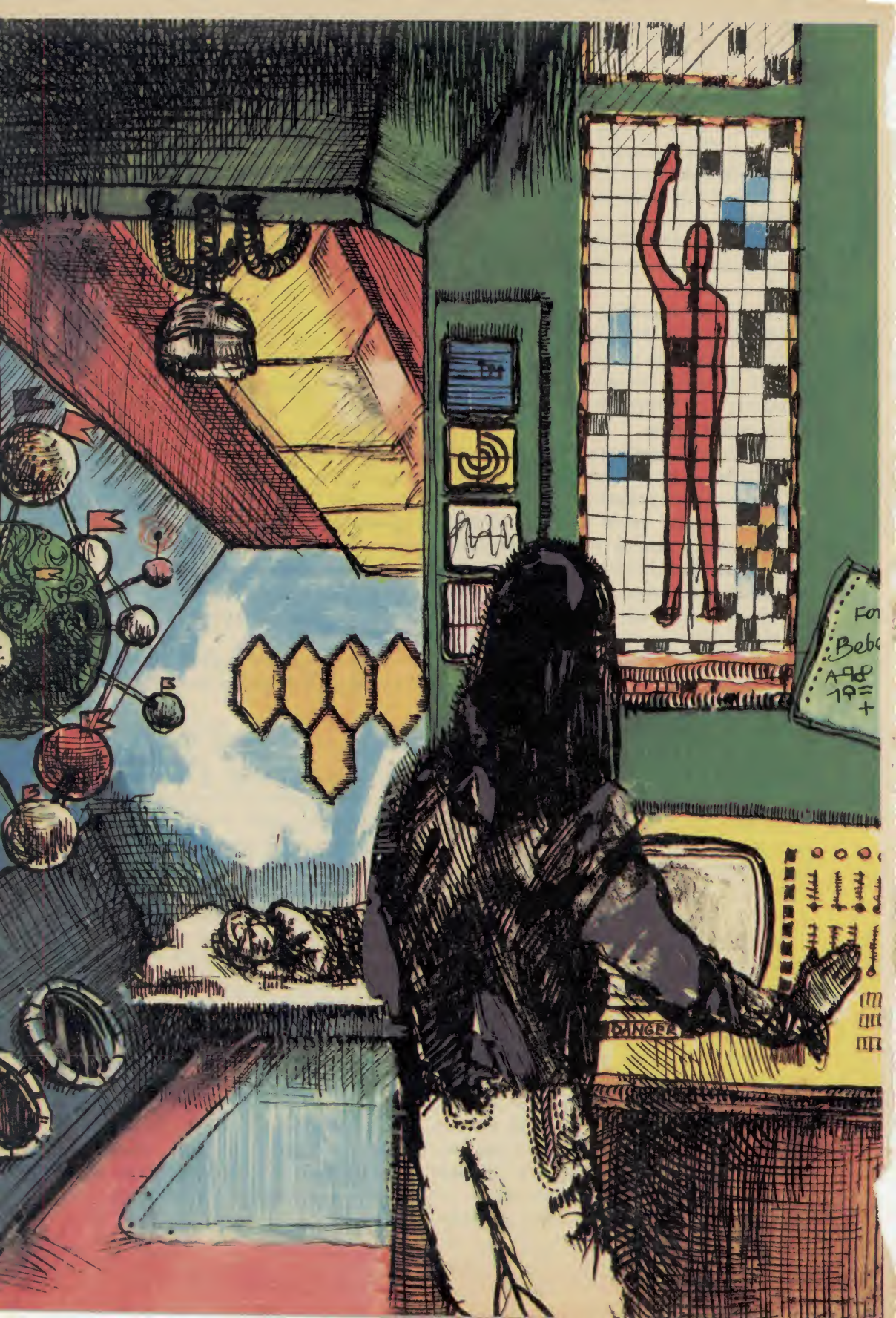
- Czy wszystko w porządku? – spytał siadając w fotelu.

Odpowiedzią było milczenie i żółty, alarmowy sygnał przeciążenia reaktora.

★

Centrum Kontroli Lotów przypominało mrowisko, które niedawno odwiedził bardzo głodny mrówkojad. Z wysokości dziesiątego piętra widać było okoliczne parkingi i trawniki. Świeciły pustką. Trzy lub cztery samojazdne kosiarki ugrzęzły w stertach puszek po piwie, Coca-coli i mleku. Ekipa, sprzątająca różne śmieci powstałe po panice, leniwie krążyła po drogach okalających Centrum, jej samochody snuły się, jak zagubione i odrętwiałe mrówki. Kerr, szef kontrolerów lotu, siedział przed ekranem dalekowizji i w milczeniu głośkał niesforne loki Gabora. Obraz na ekranie falował odległą poświatą ognia.

- Niech to wszyscy diabli! – Slovanec zmienił zakres odbioru i teraz przez kamery intersanta mogli zobaczyć ostatnie sekundy agonii „Złotej Strzały”. Gorejąca czerwienią, bielą i błękitem, ognista kula rozpadła się na tysiące iskier.



For
Bebe
A 40
19 =
+

DANGER

– Wujku, czy to są meteory? – spytał Gabor. Kerr nie odpowiedział. Obejrzał się tylko na przytulonych do siebie Jonę i Alderona.

– Tak, synku, to są meteory. Teraz to już tylko meteory.

Minister, nie wyglądający na ministra, tykał kurczowo nie istniejącą ślinę, próbując ukryć swoją bezsilność.

– Dlaczego? – spytał. – Czy nie mogliśmy nic zrobić, by mu pomóc?

Ludzie milczeli, zapatrzeni na ostatnie, gasnące na ekranie iskry ognia ze „Złotej Strzały”.

– Nic nie mogliśmy. To była ewidentna sprawa. Przegrzany reaktor. Niesprawne silniki. Zbyt blisko Ziemi. Musiało się tak skończyć. – Kerr cisnął cygaro na podłogę. – Dla nas, kiedy spada gwiazda, to umiera człowiek. Gdyby pan do nas częściej zaglądał, zrozumiałby pan, jaką mamy pracę. Na pana miejscu zakazałbym wszystkich tych zwariowanych podróży do nikąd. Przeklęte planety pełne pustki, śmierci i mroku...

– To nie tak Kerr! – Slovanec wstał i z opuszczoną głową wyszedł z sali. Za nim poszli inni.

– Mamo – Gabor podbiegł do Jony, ciągle tulącej się do Alderona.

– Co kochanie?

– Dlaczego powiedziałaś, że to nieprawda z tymi gwiazdami.

– Nie rozumiem, Gabi?

– Wujek Kerr przecież powiedział, że kiedy spada gwiazda, to umiera człowiek.

Jona ze łzami w oczach objęła drobne ciało syna.

– Gabi – szepnęła – Gabi, kochanie. Nie trzeba teraz nic mówić. Teraz nie trzeba.

*

– Gadanie! – Solo Mann ze złością wyłączył głośnik. – Komitet powitalny wymyślił, a ja ledwo żyję. – Chciało mu się spać, jak nigdy dotąd.

– Co za przeklęty brak szczęścia, najpierw ślizgacz, teraz „Złota Strzała”.

Pociągając nosem, obejrzał się. W oddali lśniła błękitem Ziemia.

– To nic, jeszcze nie raz... – mocniej przycisnął do piersi kryształową kulę, zawierającą mózg autopilota. Jeden z przewodów, jakie oplatały kryształ, tkwił w helmie skafandra.

– Chyba nie rozbeczysz się jak dzieciak? – spytał autopilot. – Jeszcze mnie zgubisz...

– Chyba nie, ale mi szkoda, bo to był dobry statek.

– To był najlepszy, jaki istniał w SOK-u.

– Teraz już nam nie pozwolą...

– Pozwolą. Proponuję: przesiądź się na „Białego Ogara”.

– Sądziś, że dadzą?

– Już dali. Nie trzeba było wylądować głośnika.

– Mdli mnie od tych wiecznych pouczeń, są zupełnie takie same, jakie sprzedaje stary Glum.

– Nie narzekaj. To dobry dyspozytor i zna się na robocie.

– Pewnie, ale nie chciał mi pożyczyć forsy na to powitanie. Nie mam żadnego porządnego ubrania...

– Czy to takie ważne? I tak byś wszystko zainwestował w swój nowy ślizgacz i ukochane wyścigi. Ryzykant. Raz ci się udało, zostałeś mistrzem świata. Ale to było dawno... pięć lub sześć lat temu.

– Chyba zaraziłeś się od Gluma. Skończ, bo cię wyłączę.

– Wyłącz! Kogo chcesz oszukać? Jesteś hazardzistą i ryzykantem. To niepoważne. Czas już byś wydorósł.

Solo Mann uśmiechnął się i mocniej ścisnął nogami obły kształt raketowej gaśnicy.

– Nie ma się co spierać – mruknął – już po nas lecą.

– No, to „pełnym ciągiem”. Prędzej będziemy mieć to za sobą.

Solo Mann odwrócił się i przekręcił zawór. Potężna fontanna sprężonego dwutlenku węgla białą kaskadą znaczyła ślad wzbijającego się w górę obiektu. Na ekranach dalekowizji wyglądało to jak miniaturowa kometa, która wbrew prawom fizyki uciekała od Ziemi. I mógłby ktoś teraz, trawstując stary przesąd, powiedzieć, że kiedy wznosi się gwiazda, rodzi się nowy człowiek.